№ 6. Warszawa, dnia 26 Stycznia (7 Lutego) 1885 roku.

# TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

**W Warszawie** rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Widok Nr 3.



## ANTONI EDWARD ODYNIEC.

Przed laty sześćdziesięciu było ich wielu. Byli młodzi i do życia, do pracy skorzy. Jakiś duch dziwny, siła niezwykła, rozpalały im serca i kochali wielu, nie żądając za tę miłość nic, bo uważali ją, jako obowiązek ludzki, obywatelski.

Wyrośli na ugorze, na pustkowiu literackiem, które zdawało się jałowem, mało kto domyślał się, że na tym gruncie wyrośnie kiedyś ziarno obfite.

Oni byli siewcami. Miłość wielka zagrzewała ich do pracy, dodawała sił, głos jakiś wewnętrzny wołał ciągle: naprzód, naprzód!

Więc szli naprzód, nie cofając się nigdy i przed niczem, bo w piersiach mieli wiarę wielką i ufność pokładali w Bogu, którego ich matki nauczyły kochać.

Taki był początek nowego prądu literackiego, szkoły romantycznej.

Świat zdawał się im drzemiącym, więc kiedy mistrz ich zawołał: ruszaj z posad bryło świata! zawtórowali mu jednogłośnie i — świat się ruszył z posad, choć zgrzytnęły stare zawiasy, chociaż leniwi i starzy swym ciężarem opierali się długo, potoczyło się życie naprzód przy odgłosie pieśni pełnych wiary i z radością witano jutrzenkę... wschodzącą nad uśpioną ziemią.

Było tych miłośników literackiego odrodzenia wielu...

Dziś któż z nich pozostał?

Kilku ich już tylko było. Jak bracia się kochali, a my patrząc na tę ich miłość, uczyliśmy się braterskiej miłości, której pół wieku nie oziębiło ani trochę i uwielbialiśmy ludzi, którzy tak kochać umieją.

Ignacy Domejko w Ameryce, Józef Bohdan Zaleski we Francyi, Antoni Edward Odyniec w pośród nas w Warszawie, oto trójca braci miłujących się, a sercom naszym drogich. W roku ubiegłym witaliśmy powracającego na zagon ojczysty Domejkę — między pierwszymi co mu tu wśród pól swojskich dłoń podali, był A. E. Odyniec, druh Domejki, kolega szkolny, przyjaciel i brat duchem. Serca nam żywiej uderzyły, na widok sędziwego uczonego, wracającego do nas. Odyniec do gniazda rodzinnego go odprowadził, aby znowu pospieszyć do Warszawy, którą ukochał i od lat wielu stale w niej przebywał.

A dziś?...

Dziś kwiaty żałobne rzucamy na trumnę sędziwego poety, jęk dzwonów pogrzebowych żalem się odbija w sercach naszych, żegnać musimy jednego z tych niewielu, którzy pamiętali dawne, piękne czasy, jednego z tych, co stali u kolebki romantycznej poezyi naszej.

Ona nieśmiertelna, ale jej śpiewacy nas opuścili; ona w sercach naszych żyła i żyć będzie póki serc nam stanie, ale ci, co ją wykołysali, ożywili gorącem tchnieniem piersi własnych, oni myślą, duchem tylko z nami, ciała ich spoczęły w mogiłach, które rozsypane po ziemi całej.

*Antoni Edward Odyniec* jako poeta, jako jeden z pierwszych naszych romantyków, druh i przyjaciel nieśmiertelnego Mickiewicza, dobrze się zapisał w sercach naszych i żalem dziś je okrywa wiadomość o jego śmierci. Złożył sędziwą głowę na ostatniem posłaniu, a duch jego uleciał do tych, których tak bardzo kochał, do których nieraz tęsknił, chociaż miał serce i dla młodego, u stóp jego wzrastającego pokolenia.

Nad świeżą mogiłą rzucamy kilka słów o życiu i pracy zgasłego poety, a chyba najlepiej zacznijmy to wspomnienie własnemi jego słowami, które kiedyś napisał nad zwłokami przyjaciela-poety, Kazimierza Brodzińskiego:

„Zbliża się godzina — a jako gdy słońce
Schyla się do zachodu: wiatry w dzień wiejące
Ucichają, a ono swe blaski promienne
Wciąga zda się w głąb siebie, na wspomnienie [senne;
Lecz nim zgaśnie, raz jeszcze w pełni majestatu,
Nieśmiertelne swe jutro zapowiada światu.
Tak dusza chrześciańska, przed ostatnią próbą,
Ucisza się w spokoju — i jakby chcąc z sobą
Zabrać i unieść wszystkie swe cnoty na ziemi,
Wsiąka je i nie wiedząc promienieje niemi...”

W spokoju oddał poeta Bogu ducha, żegnany miłością ludzką, chociaż i jemu życie nie zawsze przechodziło po różach.

Urodzony w Giejstunach w r. 1804, nie wiele lat strawił w domu rodzicielskim na zabawach i igraszkach dziecięcych. Wcześnie oddany do szkół księży Bazylianów w Borunach, oddał się naukom z zapałem i prawdziwą gorliwością. Ciekawość do książek go ciągnęła, a raz zakosztowawszy przyjemności, jaką one dają, już jej porzucać nie myślał. Nie gardził rozrywkami młodzieńczemi, wesoły był zawsze i do zabawy ochoczy, ale dla książek serce miał od wczesnej młodości, a w domu jeszcze rodzicielskim, pisać zaledwo umiejąc już składał rymy, które mu zjednały w przyjaźnych rodzicom domach rozgłos poety.

Wiadomość o tej dziecięcej poezyi podał Odyniec sam w swych, świeżo ogłoszonych „Wspomnieniach z przeszłości", lecz tylko ośm wierszy zapamiętał — przytoczymy je później, kiedy będziemy o „Wspomnieniach" mówili obszerniej.

W Borunach talent poetycki Odyńca rozwija się już wyraźnie i odtąd młodziuchny poeta nie zaniedbuje go, owszem kształceniem się pilnem dopomaga jego rozwojowi.

W dzień Zielonych Świątek w r. 1820 bierze udział w majówce młodzieży wileńskiej, poznaje się z Tomaszem Zanem i Janem Czeczotem i pierwszy raz słyszy nazwisko Adama Mickiewicza.

W rok potem, na takiejże samej zabawie, już jako student wileńskiego uniwersytetu spotyka Mickiewicza. Odtąd sercem przylgnął do mistrza naszych poetów, sam gorąco pracuje, pisze, tłomaczy i zdobywa sobie zasłużone uznanie i pochwały nawet tak surowych krytyków, jak profesor Borowski.

Poezye oryginalne i tłomaczone, znane najpierw tylko kolegom, przeszły wreszcie na własność kół czytających. W roku 1825 ukazują się w druku pierwsze tomy poezyi A. E. Odyńca i od razu zdobywają autorowi sympatyę. Wiersz gładki, styl płynny, silna barwa romantyczna, oto zalety tych prac poetyckich.

Z Mickiewiczem coraz serdeczniejsze łączyły go stosunki. Bracia po myśli i pieśni, przylgnęli do siebie, zrozumieli się, pokochali. Węzeł ten stał się tem silniejszym, gdy Odyniec, jako towarzysz podróży Mickiewicza, został jego najbliższym powiernikiem, świadkiem codziennego życia, uczestnikiem smutków i radości, bezrobocia i natchnienia.

Dzięki temu posiadamy w „Listach z podróży" Odyńca, najznakomitszy materyał biograficzny do życia Mickiewicza, dzięki temu poznaliśmy największego z naszych poetów tak dokładnie, jak żadnego innego. Listy te pozostaną na zawsze wielką zasługą Odyńca dla dziejów naszej literatury.

Towarzysząc wielkiemu poecie, sam pióra nie porzucał, przeciwnie pisał wiele i doskonalił się ciągle.

Znakomitym jest A. E. Odyniec jako tłomacz. Jego przekłady z literatury angielskiej i niemieckiej mają ogromną wartość artystyczną, są w całem tego słowa znaczeniu przekładami wzorowemi:

„Narzeczona z Abydos", „Korsarz", „Niebo i ziemia", „Mazepa", „Dziewica z jeziora", „Pieśń ostatniego minstrela", „Czciciele ognia", „Peri i raj", „Dziewica Orleańska". W rzędzie prac oryginalnych na uwagę zasługują dzieła dramatyczne: "Felicyta", "Barbara Radziwiłłówna" i „Jerzy Lubomirski", (ogłoszona tylko część pierwsza, druga znajduje się podobno w tece poety).

Zanim kiedyś będziemy mogli wydać szczegółowy sąd o poetyckiej działalności Antoniego Edwarda Odyńca, dziś przypomnimy, co o nim powiedział jeden z najlepszych znawców naszej literatury, Lucyan Siemieński. Oto słowa jego:

Odyniec, przyjaciel Mickiewicza, wspólnik prac niektórych, lubo nie ubiegający się o współzawodnictwo z wieszczem, umie w utworach swoich utrzymać cząstkę tego wielkiego ducha, jaki ożywiał wieszcza i jego epokę. Co tylko wyszło z pod jego pióra, nosi to nieśmiertelne piętno, dające się wyśledzić nawet tam, gdzie świetność pisarskiego talentu, siły ducha i czucia, nie dosięgają wysokości, wymaganej po arcydziełach.

Głęboką prawdą chrześciańską przepojony duch i serce Odyńca, wyciska na jego utworach piętno, nadające im wartość wewnętrzną: odróżniające od tylu innych pisarzy, co hołdując samemu bożyszczu sztuki, poprzestają ,najczęściej na powierzchownych przymiotach, znachodzących chwilowe tylko powodzenie i uznanie. Słowem, jest to pisarz z treścią, mąż wyrobiony wewnętrznie; dlatego myśli jego mają siłę zapładniającą, zostają w czytelniku i zmuszają niejako łamać się z niemi, roztrząsać w sumieniu, a jeśli nie przyznawać im zupełnego zwycięztwa, przynajmniej wyciskać dla nich szacunek, jak dla wszystkiego, co dobre i piękne.

Nie jest to pisarz wstrząsający światem wyobrażeń, z rzędu tych, co wszystko ciągną pod pręgierz opinii, co serce biorą na próby, przysłuchując się kiedy ma pęknąć, co uniewinniają każdą namiętność, a zwycięztwo nad namiętnością poczytują za brak temperamentu, czyli raczej nie wierzą, aby zwycięztwo zdało się na cokolwiek;— przeciwnie, u niego panuje cisza i spokój siły wewnętrznej, a w blasku świętej prawdy, dającej mu natchnienie, nawet szpetności natury zepsutej, nie rażą swoją potwornością.

W tym tu punkcie spotyka się u niego klasycyzm grecki z klasycyzmem poezyi chrześciańskiej — tamten przez harmonijne uczucie proporcyi i zarysów upiększał nawet cielesne brzydoty, ten przez uczucie wielkiej miłości Chrystusowej upięknia moralne...

Cóż do tych słów wytrawnego znawcy, znakomitego krytyka, kochającego piękno nie materyalne tylko, dodać możemy? Słowa jego powtórzyliśmy jako najzupełniej słuszne, wyjęte z głębokiego odczucia myśli i celów poety.

Miłość Chrystusowa i miłość wszystkiego co dobre i piękne istotnie, podały sobie ręce w poezyi ś. p. Odyńca. Nie szukał błyskótliwych efektów, nigdy dla nich nie poświęcił ducha i prawdy, nie zaprzedał im pióra swego.

Śpiewał jak umiał, o sąd się nie troszcząc nigdy. Pochwały nie wzbijały go w dumę — której nie znał wcale.

Dziwnie ciepły serdeczny to był człowiek, a kto choćby raz tylko miał sposobność być blizkim tego staruszka, ten go już nigdy nie zatrze w pamięci. Do serca garnął wszystkich, bo się wychował w najlepszej szkole miłości...

Pokój jego cieniom...

*E. Zoryan.*

---

# Jarosław Vrchlicki.

## Z cyklu poezyi: „Z GŁĘBIN".

PRZEŁOŻYŁ

MIRIAM.

II.

### NOCNE ODWIEDZINY.

Oto maleńka izdebka pod dachem,
Z jej okna oko roztargnione błądzi,
W zawrotnej głębi wąziutkich uliczek
I w morzu dachów, kominów, wieżyczek,
Aż utkwi w modrej dali, gdzieś na górach,
Których pas mglisty śpi na widnokręgu.

Mała izdebka to i ubożuchna
I skromne w niej też sprzęty i ozdoby;
Tylko tam w głębi błyszczą dwa posągi
Na szafach, kędy w bratniej zgodzie wszystkie
Wieki stykają się w książek szeregach.

Ten pierwszy posąg to postać poety...
Awoński łabędź, złoty klucz dusz ludzkich,
Kamień probierczy umysłów i uczuć.

Przy nim drugi, chmurny tytan ducha,
Bethowen........
Co głuchą, mroczną świątynię muzyki,
Oświecił blaskiem magicznym księżyca,
Co siłą ducha pospołu z Byronem,
Dał człowiekowi grom oporu w rękę,
I na tron sławy znowu go posadził.
I dał mu poznać jego własną wielkość,
Tak, że człek zadrżał z bojaźni przed sobą.

W izdebce tylko ci dwaj panowali,
Ten pierwszy — słońce wiecznie gorejące,
A drugi — w locie płomienna kometa,
Lecz obaj — orły na wyżynach ducha,
I nieme świadki moich walk i bólów.

Nad biednem łożem wisiał obraz mały,
Wśród zwiędłych kwiatów, wypłowiałych wstążek
Głowa kobiety, jakich tu już nie ma,
Tak harmonijnych rysów, tak poważnych
Oczu, a razem tak pełnych słodyczy,
Że się zdawało, jakby z tych posągów
Genialnych mężów, co na szafach lśniły,
Padł jej na czoło jeden promień złoty,
A drugi w oko, marząco przymknięte.

Przy łóżku stolik, pełny ksiąg, papierów,
A nad nim w ramach czarno malowanych,
Czerniała chmurna twarz, posępne czoło,
Na skroniach widniał wieniec wawrzynowy,
To Dante — zdawał się na dół spoglądać,
Na wielką księgę otwartą na stole.

To była biblia, ten step nieprzejrzany,
Kędy wiek każdy zostawił swe ślady,
Ten most na ciemnej granicy dwóch światów,
Posępny, chmurny, ale pewny, stały,
Brama, podwoje, której każde noszą
W strukturze swojej, styl swojej epoki,
Dom bez drzwi, kędy spokój i prostota
Z królewskim Wschodu przepychem się łączy,
Gdzie okrucieństwo, pycha i zgnilizna,

szcze szczęścia. Kto wie, może ona umyślnie odprawiła hrabiego?...

Zwrócił się ku mieszkaniu swej ukochanej. Zbliżywszy się, ujrzał światło w oknach. Pospieszył więc ku bramie domu i... otarł się prawie o hrabiego. Niby się nie poznali, ale tem łatwiej odgadli wzajemnie. Obaj spieszyli z tym samym zamiarem. Nie udało im się.

Wzburzony i zły powrócił Alfred do hotelu, gdzie był tymczasowo zajechał. Było to pierwsze wzburzenie tego rodzaju w jego młodem życiu.

Długo nie mógł usnąć.

Przypominały mu się wszystkie najdrobniejsze szczegóły z jego życia w roku ostatnim. Widział owe zebrania studenckie, na których głośno dysputował, a później im przewodniczył, potem obraz tego życia zacierał się, bo go porywało inne, nowe. Młodzi, weseli towarzysze pochwycili nowicyusza, każdy chciał mu oddać przysługę mentora, więc na wyścigi pokazywali mu piękne strony bawiącego się świata. Oni to wprowadzili go do teatru bocznemi schodami, za kulisy, im zawdzięczał znajomość Koci, która od razu schwyciła młode jego serce. Przykuła go do swego rydwanu, u którego już tyle było koni... przepraszam, wielbicieli.

Kocia nie była aktorką znakomitą, lecz niezmiernie miłą i bardzo piękną. Figurkę miała prześliczną, płeć białą, delikatną, włosy blond, oczy szafirowe, głos dźwięczny, wkradający się do serca, a w dodatku, niczem nie dający się zasępić humor.

Alfred rozkochał się w niej na dobre. Nie odstępował jej ani na krok, bywał dla niej na próbach, na przedstawieniach, potem towarzyszył jej do domu, aby tam spędzić kilka chwil nad wyraz rozkosznych.

Przypominał sobie teraz wszystkie szczegóły jej mieszkanka, jakby tam wchodził po raz pierwszy, do tego saloniku pełnego fraszek, kwiatów, drażniącego półświatła i woni.

Przypominał sobie ową chwilę, kiedy po raz pierwszy wchodził do jej buduaru. Jakieś drżenie go ogarnęło na widok obić i mebli niebieskich. Błękitny pawilon z falą spływających koronek, owa lampa niebieska, która wydawała światło niby księżycowe, woń jakaś dziwna, upajająca, wszystko to teraz odbijało się w jego pamięci, rozgorączkowanej wyobraźni.

A Kocia, taka czarująca w jasnym szlafroczku, bujająca się na fotelu, patrzała na niego szafirowemi oczami, które zdawały się podobnemi do bezdennej toni...

Wszystko to sobie przypominał, szalał z gniewu czy zazdrości, ogień go pożerał wewnętrzny, czuł żal do tej, którą tak bardzo, bo pierwszy raz w życiu pokochał.

Usnął dopiero nad ranem.

Na drugi dzień przed południem pojechał Alfred do Koci. Wszedł zachmurzony, gniewny.

Powitała go, jak zawsze, z uśmiechem. Widok jej jeszcze bardziej go zasępił — była czarująca. Otulona w szary jedwabny szlafroczek, lekko zarumieniona, trochę zaspana, drażniła jego nerwy, budziła zazdrość...

— Tak tęskniłem do ciebie...

— A nie napisałeś mi nic...

— Nie mogłem...

— Pilnowali w domu chłopczyka?

— I dlatego się wczoraj zemściłaś?

— Dzieciaku!

— Czyż się dziwisz, że cię chciałem widzieć samą?

— Zazdrośniku! — zaśmiała się pusto.

— A gdyby tak?!

— Ależ śmieszny jesteś! Zazdrościć o hrabiego...

Nie powiedziała tego, co w tej chwili myślała; rzeczywiście śmieszną jej wydała się zazdrość o hrabiego... bez pieniędzy. Alfred tego się nie domyślał, nie posądzał Koci o rachubę.

— No, rozchmurz twe jasne czoło — zawołała.

Z cichym szelestem zsunęły się jedwabne rękawy, obnażając parę ślicznych rąk, które zawisły na szyi młodego kochanka. Przytulił ją do piersi, w której serce uderzało silnie, namiętnie.

Pocałunek pogodził ich. Słowa miłosne wybiegały szeptem z ust Alfreda — ona odpowiadała mu uśmiechem... ah, jakim uśmiechem.

Widząc ich w tym uścisku, niepodobna się było dziwić, że Alfred zapomniał o całym świecie, a najpierw o naukach. Teraz dopiero zaczęły się dla niego dnie rozkoszne, przeplatane scenami zazdrości, bo Kocia drażniła go, na częste sam na sam nie pozwalała, przyjmowała wielu panów, a naturalnie i hrabiego X. Alfred burzył się, ona uśmierzała gniew i zazdrość jednym uściskiem, spojrzeniem, uśmiechem, a on... okupywał każdą taką scenę nowymi darami. Przywiózł trochę pieniędzy z domu, reszty dostarczała ciotka, znająca potrzeby Alfreda.

Niech się bawi, mówiła sobie i nie proszona nawet, dopomagała mu. Czasem musiał zaciągać pożyczki, aby zaćmić podarunkami innych, wcale nie skąpych wielbicieli Koci.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

# STUDYA LITERACKIE.

## SŁOWACY.

SKREŚLIŁ

WIKTOR CZAJEWSKI.

I.

Słowacy. — Krótki rys ich historyi. — Polska i jej tu panowanie. — Węgry. — Jedenaście lat politycznego życia. — Charakter Słowaka. — Dalsze jego usiłowania. — Trenczyn. — Początki literatury słowackiej. — Niektórzy pisarze XVI wieku. — Charakter tej poezyi. — Poezya słoveńska z końca XVIII wieku. — Holly. — Pałkowicz. — Nowi poeci: Vajański, Kutlik. — Historyczna powieść Kubani. — Inni poeci.

(Dokończenie.)

Najnowsza literatura Słowaków, rozwija się bardzo pomyślnie, ale zawsze odzwierciedla się w niej cały nastrój czasu, wielkim smętkiem nacechowany.

Najwięcej ku prawdziwie narodowej pieśni zbliżają się Feliks Kutlik i Vajański. Pierwszy obrał sobie za temat życie południowych Słowian, drugi czysto słowackie.

Mamy przed sobą utwór Vajańskiego „Herodes". Jest to prześliczna opowieść, napisana wierszem; zdaje się, że dotąd literatura słoweńska nie miała z takiem czuciem napisanej rzeczy.

Temat powieści jest osnuty na stosunkach słoweńskich. Nędza i głód zmuszają rodziców do odstępowania swych dzieci przyjezdnym agentom z Węgier, którzy setkami zabierają młode słowackie istoty i wywożą w głąb' kraju, aby tam madziaryzować.

Otóż do wsi przyjeżdża taki kupiec węgierski, imieniem „Herodes", bohater drapieżny poematu. Przyjeżdża i skupuje dzieci, aby z nich zrobić „wielkich panów". Chcące, czy nie chcące wierzyć temu matki, muszą je oddać, bo w domu czeka je nędza i niedostatek. Biedni potulni Słowacy, patrzą pełnemi łez oczyma, jak kupiec zamiast na bryczkę, pakuje te małe istoty do klatki, aby potem przywiozłszy do Węgier, rozdać między bezdzietnych Madziarów, dla zatarcia dawnej narodowości.

Smutnie to wygląda w XIX wieku ten gwałt, zadawany dla jakichś tam politycznych celów, naturze wolnej, potulnej, biednego Słowaka; smutniej jednak jeszcze przedstawia się nam chwila ostatniego rozstania matek z dziećmi.

U klatki czepiają się one, a z wewnątrz dochodzi ich długi, przeciągły płacz dzieci, których więcej może nie zobaczą... Żal ściska serce. Padają pod koła wpół zemdlone, a woźnica zacina konie i jedzie dalej.

Znika wolno z przed oczu zabranym dzieciom, rodzinna okolica. W oddali widać tylko ginące w obłokach góry, które coraz to piękniej wyglądają, przybierając na siebie dziwnie urocze, szafirowe szaty. Ale i ten obraz niknie, szaty czernieją i kryją się gdzieś za mgłą w obłokach... jeden tylko wiatr szumi i jęczy straszliwie.

Pomiędzy zabranemi dziećmi, znajduje się piękna parka: Anusia i Janek. Sympatyzowali oni z sobą bardzo, równe przechodzili koleje i teraz jeden i tenże sam los ich spotkał. Zalani łzami patrzą na siebie i pytają, co z niemi będzie? Oto przywieźli ich do jakiejś wioski węgierskiej.

Handlarz chce zostawić Janka, ale on uchwycił się biednej Anusi tak silnie, że pomimo razów zwierzchnika, rozerwać ich nie było można. Wtedy Węgier postanowił przyjąć oboje, a zostawiwszy u siebie, codziennie pędzi do roboty. Nieszczęśliwe płaczą, a z ust ich wyrywa się skarga bolesna:

Gdzieżeś o mowo ojczysta?
Gdzieżeś pieśni bawiąca nas?
Gdzieżeś wiosko nasza górzysta?
Gdzież jest ów wonny las!...

Więdną serduszka strapione,
I w oczach robi się ciemno,
Zmalały, jak główki ze lnu,
Lecz łez powstrzymać daremno!

Coraz gorzej biednym dzieciom u złego Węgra, aż wreszcie zmawiają się, aby uciec.

I udała się im ucieczka, bo chociaż z zakrwawionemi nogami, o głodzie i chłodzie, jednakże przyszli aż do dworca kolei żelaznej, myśląc, że „buda ta", która ich przywiozła z domu, zabierze ich do pięknej słoveńskiej ziemi. Omylili się... żandarm odpędził ich od drzwi. Przytomny Janek, przeprowadził Anusię bocznem wejściem i pokazał jej wiszące sznury i żelaza u dołu, u których przyczepiły się biedne sieroty. Pociąg szedł i szedł, a maleństwo wisiało, aż wreszcie siły wi-

szących opadły i zmęczone dzieci, dostały się pod koła:

> Dusze ich jednak leciały,
> Do pięknej, wielkiej ojczyzny...

Oto jest mniej więcej treść tego utworu, rzewna i prosta, a jednak czarująca. Każdy typ wykończony dobrze, obrazek odmalowany aż do szczegółu. Nigdzie nie ma przesady, owszem wszędzie maluje się prostota. Vajański jest jednym z najczynniejszych poetów słoweńskich, a jak widzimy z przytoczonego tu poematu, posiada niezmiernie wiele uczucia, dar obrazowania i niesłychaną łatwość obserwacyi.

Oprócz poezyi, rozrzuca między swój lud nowelle i inne utwory, przeważnie z bieżącej chwili.

Historyczna, nadobna literatura, nie ma tam dziś wybitnego talentu. Ostatnim na tem polu był zmarły niedawno Ludwik Kubani. Urodził się w 1830 roku. Z pierwszych jego utworów: „Slzy osudu", „Frpezlivost", „Filistrom", „Sachara", daje się już spostrzegać talent niezwykły.

Różnił się on od swoich poprzedników bogatą erudycyą, wykwintniejszą formą i smakiem wyrobionym na nowszej szkole poetów.

Najważniejszym jego utworem jest poemat: „Deń 6 a 7 juna 1861 r. w Turcz. Sv. Martinie", który odznacza się oprócz treści politycznej, niesłychanie płynnym i pięknym wierszem. Utworem tym pod względem języka i formy przewyższył Kubani utwór Sladkowicza p. t. „Sväto martiniada".

Z ostatniego okresu swojej działalności, t. j. pomiędzy rokiem 1867 a 1869, zostawił duży poemat „Radziwiłłówna" i dramatyczną pieśń „Traja sokoli", a oprócz tego masę porozrzucanych lirycznych piosenek, nie wspominając nic o pracach beletrystycznych, pisanych prozą.

Najwięcej może nas obchodzić pieśń epiczna „Radziwiłłówna", gdyż poeta przeprowadził tu opowieść zaczerpniętą z dziejów ostatniego Jagiellona w Polsce.

Pieśń całą rozdzielił autor na cztery śpiewy: pierwszy zatytułowany jest Wilno, drugi Piotrków, trzeci Kraków, czwarty Knyszyn, a każda z tych pieśni rozpada się na pięć rozdziałów. Tak wygląda z zewnętrznej formy ten poemat. Treść nie jest zbyt ściśle historyczną.

Oto piękną wdowę po Gasztoldzie, wbrew protestom szlachty i matki królowej Bony, poślubia Zygmunt August. Zazdrosna włoszka, nieznosząc obok siebie tak nizko urodzonej rywalki, truje ją, przyczyniając się tem do rozdwojenia Polski i Litwy, połączonych ściślej nowo-zawartym związkiem króla z Barbarą (!) Oto jest mniej-więcej treść tego poematu. Rozczarowany król z tęsknoty i zmartwienia umiera w Knyszenie.

Tu występuje Kubani jako najsilniejszy epik w swoim czasie. Z prostotą i wiernością kreśli obrazy piękne i zajmujące, podmalowywując tło, jeżeli niezupełnie wiernie i prawdziwie, to przynajmniej bardzo trafnie.

Przytem umie i tu wlać w formę swego wiersza śpiewność i prostotę, a co rzadko się zdarza, umie zainteresować swoją opowieścią, co stanowi najgłówniejsze zalety pisarskie. Przytem dosyć trafnie rysuje, historyczne wybitne osobistości. Wykończona jest dobrze, olśniewająca swą urodą Barbara. Przeciwny kontrast stanowi z nią, również piękna, ale przekwitła już Bona, roznamiętniająca się nie do przystojnego królewicza, ale do korony i steru, które pragnie posiadać w swem ręku. Także przecudownie odbija tu stanowczy charakter ostatniego Jagiellona, jakże ta stanowczość różna od uporu różnych oligarchów polskich.

W liryczne swoje wiersze pochodzące z tej epoki, wlał Kubani dużo scen rzewnych, patryotycznych, a tak gorąco, tak silnie napisanych, że rozgrzewają serca najzimniejsze, najwięcej obojętne na wszelkie wzruszenia.

Na Kubani jednak nie kończy się literatura słoweńska, albowiem rozwinęła się już o wiele więcej i posiada ludzi pracujących w różnych kierunkach. Do poetów więcej rozgłośnego imienia należy Czajak, Tisowski, Capek-Zniowski, Pepkin (pseudonim) Dumny, Jan Chalupa, Zaborski i wielu, wielu innych, których działalność podamy w następnych artykułach.

Dziś wypada nam tylko zaznaczyć, że ów ubogi naród dźwiga się bardzo i podnosi, przyglądając się z ciekawością temu wszystkiemu, co się dzieje na ziemiach mu pokrewnych krwią i duchem, czego najlepszym dowodem utwory Kubani. Czyż więc my, jeżeli chcemy oddziaływać zbawiennie swoją przeszłością i cywilizacyą na inne pokrewne nam ludy, nie powinniśmy baczniej się nimi zajmować i coraz je lepiej poznawać?

Cywilizacya Niemiec, ani Francyi nie jest jeszcze ostatnim ideałem narodów i dużo tam braków możnaby odnaleźć. Kultura wyższa nie polega na uzurpacyi przewodnictwa i przewadze nad słabszym, ale na wyrobieniu pojęcia, że jest istotnie lepszą, godną przyjęcia i dążącą do serdecznego ułożenia wzajemnych stosunków. Takiej z pewnością każdy przyzna pierwszeństwo, inna prędzej czy później, wyższej uledz będzie musiała.

---

## PRZEGLĄD LITERACKI.

---

**Rogata dusza.** Powieść z podań szlacheckich *M. Synoradzkiego.*

Podobny typ, jak go nam chciał przedstawić M. Synoradzki w „Rogatej duszy", spotykaliśmy już niejednokrotnie w naszej literaturze powieściowej. Nie brakło bo ich i w życiu, nie brak może i dzisiaj, lecz w wiekach minionych typ taki był albo częstszym, albo łatwiej podpadał ogólnej uwadze. Bohater powieści, o której mowa, Stanisław Trzciński, osierociawszy po ojcu, nie znający życia, choć już dwadzieścia kilka lat liczy, bez zasobów prawie, puszcza się w świat, jedzie do Warszawy i za poradą przyjaciela, nieboszczyka ojca, rozpoczyna praktykę adwokacką. Jedna sobie serca kolegów i mecenasa, prawością i szczerością, ale szczęścia nie znajduje w tym zawodzie. Wpadł w oko posażnej, a nieładnej pannie, pasierbicy mecenasa, może ją pojąć za żonę, lecz nie chce tego. Serca do niej nie ma, a za posag się nie sprzeda. Takie same szczęście, w oczach ludzkich, trafia go raz drugi.

Upodobała go sobie młoda, piękna wdówka, podkomorzyna Iłowiecka, przyjmuje go za plenipotenta, aby go tylko zbliżyć do siebie, ale Stanisław niczego się nie domyśla. Na swoją chlebodawczynię oczu nie śmiałby podnieść, za to serce oddaje ubogiej dziewczynie, Anulce Witeckiej. Kiedy się o afekcie pani podkomorzyny dowiaduje, rzuca służbę u niej i idzie dalej w świat, szukać szczęścia i chleba, aby go kiedyś podzielić z ukochaną Anulką. Właśnie była to chwila, kiedy król nasz Sobieski wybierał się pod Wiedeń Stanisław idzie na Turczyna.

Dzielnie się sprawiał, grosza trochę zebrał, więc po wojnie wraca, aby kupić mały folwarczek i do własnego gniazdka wprowadzić sercu drogą Annę. Natrafia na wielkie przeszkody, bo ojciec dziewczyny Stanisławowi dać nie chce, lecz towarzysze mu dopomagają — młodzi pobierają się bez woli ojcowskiej, a w końcu jednają go sobie i uzyskują błogosławieństwo. Pani podkomorzyna zostaje zakonicą.

Do połowy, powieść toczy się dobrze — język tylko i maniera gawędy z przeszłości, nie zupełnie udatne. Dalej wszakże zaczyna się tok powieści zamącać, awanturniczość bierze górę, co wielce zaciemnia charaktery. Z tem wszystkiem powieść Synoradzkiego czyta się z zajęciem i przyjemnie.

---

## Ż pod naszej strzechy.

---

Bolesław Prus w jednej ze swych kronik chwali malarzy i rzeźbiarzy warszawskich, a pochwała ta pełna dowcipu, ostra, że pewno nie jednemu z naszych artystów cierniem zalazła za skórę. Kronikarz zaczyna od występów Modrzejewskiej i oto, co pisze:

„Z pomiędzy dotychczasowych występów Modrzejewskiej, dwa połączyły się z celami ekonomicznemi instytucyj ogół obchodzących. Dochód z pierwszego był poświęcony na kasę emerytalną i zaliczkową artystów warszawskiej sceny, z drugiego — na budowę gmachu, dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych.

Szczęśliwi malarze! oni kas emerytalnych, ani zaliczkowych nie potrzebują... Żaden z nich nie starzeje się, nie choruje, a nadewszystko nie doświadcza w życiu biedy...

Jeżeli sam nie ma butów, może przynajmniej malować osoby w butach, nawet z olbrzymiemi cholewami i kwastami. Jeżeli za niepłacenie komornego wyrzucą go z jednej izdebki, może sobie wymalować pałac. Jeżeli płaci lichwiarskie procenta i nie ma czem zaspokoić apetytu, któż mu broni wyobrazić sobie, że posiada skarby korony angielskiej, albo — przyozdobić swego stołu najwyszukańszą zwierzyną i owocami? Imaginacya, pędzel i farby, nawet wzięte na kredyt, cóż to za nieprzebrane bogactwo!...

Malarze słusznie robią, że nie myśląc o ufundowaniu sobie jakiejś kasy zapomogi, troszczą się natomiast o gmach dla Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Do szczęścia — tego im tylko brakuje; resztę mogą sobie domalować."

Czyż nie ma dowcipny kronikarz słuszności? Tej chyba nikt mu nie odmówi. A jednak głosy podobne nieraz się już odzywały i... były grochem rzucanym na ścianę.

Może dziś nawoływania lepszy odniosą skutek, gdy tak łatwo przekonać się o biedzie, gdy tylu jej zaznaje... a artyści wcale nie są od jej uścisków wolni.

Dziś kto żyje, myśli o przyszłości swojej i swoich najbliższych. Łamanie się z trudnościami życia jest najlepszą szkołą, doświadczenie, choć nieraz bolesne, prędzej przekonywa, aniżeli wszelkie nawoływania i kazania. Stare przysłowie powiada, żeśmy mądrzy po szkodzie... ha, żebyż tak zawsze było?

Tak się odbija w miłości niebieskiej,
Jak piorunowa chmura w jasnej toni,
Kotwica wiary, rdzą wieków pokryta,
(Pewniejsza jednak, niż ustne podanie;
Ten ptak stubarwny, lotny, lekkoskrzydlny,
Który w orszaku dziwnych widm i cudów
W świat leci, jako lekki szum sitowia,
Jakby wieść, którą fala szepcze fali).

I długo widać swem okiem badawczem —
Tem okiem, które przepaści piekielne
Mierzyło niegdyś, co w światła wiecznego,
Śmiało zanurzyć się w głąb' tajemniczą,
A w którem ogień lśnił jakiś trawiący,
Jak słaby odblask widzianych tam dziwów —
Spoglądał wielki poeta na księgę,
Bo już pył gęsty pokrył jej stronice,
Tak, że litery pod jego oponą,
Migały w zmroku posępnym izdebki,
Jakby w pajęczej sieci martwe muchy.

Ten pył padł także na stół i na łóżko,
Na papier, książki, nawet na posągi.

Pył na posągu, niepamięć imienia,
To jedna rzecz i jeden ma początek.

I pusta była izdebka ta smutna,
Nad nią mijały dnie, noce gwiaździste,
W koło niej łkały wichry, burze grzmiały,
I codzień miasto w dole pod nią wrzało,
Jak kocioł pełen materyałów palnych,
Pod który ognia alchemik dokłada.

Nikt nie przychodził tu — czasem nietoperz
Zbłąkany, stuknął głucho w szybę okna,
I nikt posągów wawrzynem nie wieńczył —
Tylko miesiąca blask srebrny, nocami
Tkał im dyadem sławy w okół skroni,
I to nagradzał, co zapomniał człowiek.

Nagle wieczorem drzwi się otworzyły
I po posępnych, długich, smutnych latach,
Wszedłem do izby, mej prawej ojczyzny.

Wzrok mój trwożliwie obiegł nagie ściany,
Zmierzył posągi z wyrazem współczucia
I długo, długo tkwił potem na biblii,
Potem ku niebu wzleciał, gdzie noc letnia
Swe rozwiesiła gwiaździste całuny.

I długo, długo stałem w ciężkich myślach,
Nakoniec rzekłem:

„O ty wielki wieszczu!
Dzisiaj na inną drogę wiek nasz wchodzi;
To piekło, któreś zbudował w swym duchu,
Dziś w gruzy wali się pod wiedzy młotem,
Ten raj, na który patrzałeś w zachwycie,
Przed nami w krasie przyrody jaśnieje,
Światów przestworze i gwiezdne wyżyny,
Już nie są dla nas dziwną tajemnicą,
I tam człek sobie drogę utoruje,
I pośród gwiazd tych, gdzie raj przedtem widział,
Natychmiast nowy tron wzniesie dla siebie,
A całe piekło z mękami, z rozpaczą
W nienasyconą nigdy pierś swą zamknie...
Wieki! Ludzkości! tą zawrotną drogą
Dokąd pędzicie? — We mgle cel wasz skryty!"

Jednak poeta chmurny nie odwrócił
Od zakurzonej biblii ócz surowych,
A nawet — zdało mi się w nocnym cieniu,
Że jeszcze bardziej zmarszczył brwi swe ciemne
I, że na ścianach w jasności miesiąca
Migały dziwne, płomieniste znaki,
Które wyłożył niegdyś prorok Daniel...

Uciekam z izby, ścigany przez męki,
Dokąd, sam nie wiem...

Znów lata mijały
I pusta stała izdebka samotna,
Jak ciemna trumna, zkąd trupa wyjęto,
Jak puste gniazdo, które sęp opuścił,
Smutne po sobie zostawiwszy szczątki:
Kość ogryzioną i skrwawione pióra...

* * *

Z pochodni krasy wiecznie jaśniejącej,
Jak mała iskra poeta w świat pada;
On mała iskra, a ciemność bez końca,
Cel tak niepewny i droga daleka...
Kto schwyci iskrę, zanim zgaśnie w locie?
Kto jej gasnące światło znów rozdmucha?
Kto w nią żywota czar tchnie przepotężny?
Ta siła bóstwa wkrótce gaśnie całkiem,
Przychodzi chwila smętna, rozpaczliwa,
Gdy w ręku twoim róże tracą wonie,
Gdy w oczach twoich niebo się zachmurza;
Sięgniesz do serca — tam śniegi i lody,
Sięgniesz ku skroni — tam zmarszczek tysiące!
Potem na gruzach dawno przeszłych marzeń,
Smutnie ku tobie schyli się ów anioł,
Co pieśniom twoim i snom towarzyszył,
Jak widmo Laury nad łożem Petrarki, —
I przez labirynt mroków cię powiedzie
Ku ciemnej bramie, na wieki zamkniętej,
Przed którą siedzi starzec osiwiały
I niewidomy — i potężnym głosem
Wciąż sobie śpiewa starą baśń posępną
O złotym wieku, o raju straconym.

Tu zdjęty zgrozą spojrzysz w tył za siebie
I poznasz, że w tej ciemności bez granic —
Do Eldorado — grób jedyną drogą,
I rzekniesz płacząc:

„Oto życie nasze!"
A ja doszedłem już do dnia takiego...

---

# NA DRODZE I BEZDROŻU.

## POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

**E. Zoryana.**

(Dalszy ciąg.)

Wyjeżdżając ze Lwowa, dziękował mu pan Zagórski prawie ze łzami i oddawał w opiekę syna, w którym już także upatrywał człowieka niepospolitych zdolności.

— Panu to wszystko zawdzięczam, kierujże nim dalej tak, jak dotąd.

Kuczyński uśmiechnął się smutnie.

— Pracowałem jak umiałem i mogłem, ale ten tryumf nie moją jest zasługą, zdaje mi się, że ktoś mocno zaskarbił łaski profesorów...

— Czyżby tak było istotnie?

— Zdaje mi się. Zresztą mniejsza o to.

— Zostawiam syna pańskiej opiece.

— Nie zawiodę pana...

Tak więc został Hieronim Alfred Zagórski, uczniem siódmej klasy szkoły publicznej.

Chłopak był istotnie zdolny, pojętny, więc nauka szła mu gładko. Plan szkolny, obliczony na ośm lat, polegał na nauce powolnej, zastosowany był do zdolności przeciętnych uczni. Alfred pojmował szybko, pamięć miał doskonałą, więc nie dziw, iż go wkrótce powtarzania zaczęły nudzić, osobliwie, że profesorowie nie szczędzili mu pochwał, po części zasłużonych. Ciocia Bilska unosiła się nad rozumem Alfreda, mąż jej zachwytom wtórował, profesorowie przychodząc na lekcye potwierdzali, iż ma talent niepospolity, jeden tylko Kuczyński, był zawsze niezmienny i pilnował nauk swego wychowańca.

Nieraz przy lekcyi, gdy Alfred utrzymywał, że już wszystko umie, mówił stary pedagog:

— Tem lepiej, że umiesz lekcyę na jutro, ale trzeba ją powtarzać, aby została na dłużej. Jutro nie jest kresem nauki, egzamin jej nie kończy, lecz jest progiem dopiero do dalszej pracy.

Chłopak słuchał, bo do posłuszeństwa swemu nauczycielowi nawykł od dzieciństwa, ale nudził się czasem i niecierpliwił. Działo się to głównie za przyczyną ciotki, która mając wielkie wyobrażenie o zdolnościach Alfreda, nie rozumiała, dlaczegoby miał po za szkołą tyle czasu tracić na nauce.

Powoli więc buntowała chłopca, zachęcając do zabaw. Tłomaczyła Kuczyńskiemu, że nie potrzeba Alfreda zamęczać naukami, skoro ma takie zdolności. Stary pedagog usprawiedliwiał się silnemi argumentami, które wszakże nie przekonywały światowej damy. Ona naukę uważała za ozdobę tylko.

Podjazdy pani Bilskiej były silne, wreszcie skończyły się otwartą wojną.

— Nie zechcesz pan Fredzia wykształcić na guwernera przecież?

— Nie, pani łaskawa, ale naukę pojmuję sery o.

— I ja także rozumiem jej znaczenie i wartość, pozwoli pan przeto, że w zastępstwie rodziców, muszę stanowczo wystąpić przeciwko pedanteryi, która chłopca męczy, wrodzone zdolności zabija.

Po drugiej, czy trzeciej takiej rozmowie, pan Kuczyński prosił, by go z dotychczasowych obowiązków uwolniono, do państwa Zagórskich napisał, że czuje się chorym i potrzebuje wypoczynku, zresztą państwo Bilscy otaczają Alfreda staranną i samoistną opieką.

Było to pierwsze zwycięztwo talentu Alfreda, nad nauką i systematycznością.

Postępy robił istotnie wielkie i na wakacye pojechał do domu z świadectwem bardzo chlubnem.

Rodzice byli zadowoleni, chociaż ustąpienie Kuczyńskiego zmartwiło ich trochę.

Pani Bilska wszakże wytłomaczyła im, że to żadnych złych skutków za sobą nie pociągnie.

— Chłopiec ma talent ogromny, uczy się pilnie, więc stary guwerner wcale nie jest mu potrzebny.

Tak upłynął jeszcze rok jeden.

Alfred uczył się z łatwością, pojmował szybko i szybciej jeszcze wzrastał w dumę, którą pani Bilska energicznie podsycała; mąż jej wtórował zgodnie.

Z świadectwem dojrzałości w kieszeni, wyglądał Alfred, jak to mówią, jakby wszystkie rozumy

pojadł. Rezonował śmiało, głośno i — również głośno krytykował nauczycieli. Było to wiernem echem zdań, wygłaszonych przez ciocię Bilską. Łatwość nauki przekonywała Alfreda, że ciotka ma racyą.

Rodzice, którzy do zbytku kochali syna, widzieli w nim skończonego geniusza. Marzyli już o jego przyszłej wielkości. W oczach ich, miał być kiedyś jedną z najwybitniejszych osobistości w kraju. Dziękowali serdecznie panu Chodeckiemu za dobrą radę, ale ten powtarzał ciągle: poczekajmy jeszcze kilka lat, nie łówcie ryb przed niewodem, chłopcu może się w głowie przewrócić.

Radość serc rodzicielskich zagłuszała te słowa.

Dziewiętnastoletni Alfred rozpoczął kursa uniwersyteckie, zapisując się na wydział prawny i jak dawniej, mieszkał u państwa Bilskich, oddany wyłącznemu kierownictwu dobrej ciotki.

## II.

Upłynął rok cały, Alfred, uczęszczając na uniwersytet, uczył się zrazu dość pilnie, chciał się utrzymać w sławie niezmiernie zdolnego, ambicya kazała mu piąć się po nad kolegów pracą. W obejściu miły, zjednał sobie wnet serca wielu. Kochano go powszechnie, każde jego słowo znajdowało poklask. Była wprawdzie partya, która surowiej sądziła kolegę, wymagała większej pracy, lecz ci stanowili mniejszość.

Alfred czując się pomiędzy kolegami jak w domu, wnet zaczął nimi przewodzić, a takich, co go chętnie słuchali znalazł wielu. Dysputy w gronie młodzieży, zajmowały sporo czasu, mniej go już zostawało na naukę, tem bardziej, że ciocia Bilska w domu absorbowała Alfreda zupełnie. Rozmawiała z nim wiele, kierowała jego lekturą domową, naturalnie dając przeważnie romanse francuzkie i zabawiała go w swym salonie podczas licznych zebrań.

Tu poznał się Alfred z kwiatem „złotej" młodzieży, która go wnet wciągnęła do swego grona. Ciocia do tego zachęcała.

W kółku tem, był Alfred nowicyuszem, ale wnet się zoryentował, znalazł prawdziwą przyjemność w obcowaniu z nowymi znajomymi, tem bardziej, że ich wszystkich przewyższał nauką. W pośród kolegów uniwersyteckich zaczynało mu być duszno. Większa ich część pracowała gorliwie — Alfred pozostawał w tyle, a przyznać się do tego nie chciał. Wolał kolegów nie znać wcale, a ostatnim pomiędzy nimi być nie mógł. Coś w nim się buntowało przeciwko takiemu poniżeniu. Za długo był pierwszym, aby dziś mógł zająć koniec szary.

Tymczasem pomiędzy ową młodzieżą złotą, o której wprawdzie niektórzy mówili, że była tylko tombakową, pozłacaną, czuł się Alfred niezmiernie szczęśliwym.

Tym nowym towarzyszom zawdzięczał bardzo wiele, poznał świat piękny, pełen zabaw i rozkoszy, i bawił się doskonale.

Z przykrością opuszczał Lwów, chociaż nie na długo. Musiał jechać na wesele siostry, która wychodziła zamąż za Włodzimierza Chodeckiego. Żal mu było wesołej stolicy kraju i weselszych jeszcze towarzyszy zabaw. Coś go tu pociągało.

A jednak zabawił w Strzałkowie dłużej, aniżeli myślał i chciał. Matka była chora, nie wypadało jej opuszczać.

---

W salonie pani Bilskiej, było kilka osób na herbacie. Język polski łamał się z francuzkim bez ustanku, ale pomimo tego, rozmowa szła gładko i nigdy jej przedmiotu nie brakowało.

— Wiecie państwo o wyjeździe pani Zagórskiej z córką i zięciem za granicę? — odezwał się jeden z gości.

— Wyjechali już? — zapytała pani Bilska.

— Onegdaj.

— Nic mi o tem nie pisali.

— Dlaczego to pani nie była na ślubie młodej pary?

— Pobrali się bezemnie! Na ślub nie pojechałam, bo nie lubię tego pana Chodeckiego. Dawniej znałam go trochę, ale to człowiek nieokrzesany...

— A syn?

— Mało go znam, mówią, że do ojca podobny.

— Mruk jakiś uczony.

— Bawił kilka lat za granicą i był gdzieś w Czechach ekonomem!

— Fi donc!

— Jakże mogli Zagórscy wydać córkę za chudopachołka?

— Ależ to człowiek zamożny.

— I był ekonomem?

— Z amatorstwa.

— To podobno jakiś demokrata.

Kilku paniczyków wzruszyło ramionami. Był bogatym i z amatorstwa ekonomował!

Panie pytały czy przystojny.

— Dość, ale to człowiek nie z naszego towarzystwa.

— Nie taki, jak nasz Alfredek — powiedziała pani Bilska.

— Ten się wyrobi na prawdziwego dżentelmena.

— Tylko te jego nauki uniwersyteckie...

Pani Bilska zaśmiała się.

— Cóż chcecie, trzeba tym uczonym profesorom pokazać, że i nasza młodzież ma głowy, chociaż się uczyć nie potrzebuje. Alfred jest prawdziwie genialnym.

— Słyszałem, że stał na czele jakiegoś towarzystwa studenckiego.

— Istotnie — objaśniła pani Bilska — wybrali go prezesem, nie mógł odmówić, musiał kolegom pokazać swą wyższość, ale obecnie już się nie udziela w tych kołach.

— Dzięki pani, jest teraz naszym.

— I nie ostatnim w pośród nas.

— O bynajmniej, wkrótce będzie pierwszym. Szkoda tylko, że go nie ma we Lwowie.

— Szkoda... a tu tęsknią za nim.

Pani Bilska spojrzała na mówiącego, uderzył ją ton żartobliwy.

— Tęsknią?

— Ależ tak. Czy pani nie wie, że Alfred zabrał ze sobą jedno z najpiękniejszych, najszlachetniejszych serc...

— Nie rozumiem?!

— Rozkochał naszą boginię...

— Przecież nie z towarzystwa... wiedziałabym.

— Owszem, z towarzystwa... dramatycznego.

— Ah! — zaśmiała się serdecznie.

— Czy to jest prawdą? — zapytała.

— Ależ najprawdziwsza prawda. Panna Konstancya wypłakuje oczy za Alfredem.

Młodzież zawtórowała śmiechem.

Pani Bilska wypytywała o szczegóły.

— Ależ to filut, niczegom się nie domyślała nawet.

— To jeden dowód więcej, że ma wielkie talenta. Zresztą może i on jest w tem samem położeniu...

— Jak pan to rozumiesz?

— Może się także czegoś nie domyśla...

Drzwi się otwarty, a w nich ukazał się — Alfred.

Powitano go głośnym okrzykiem. Niespodzianka w tej właśnie chwili wywołała ten okrzyk wbrew formom towarzyskim, których świątynią był salon pani Bilskiej.

— Tęskniliśmy za tobą.

— Dziękuję cioteczce, i ja też pragnąłem być z wami, ale trudno, obowiązki rodzinne...

— Biedna ofiaro obowiązków — zawołał jeden z bliższych znajomych Alfreda — a tu tęsknota łzy wyciska z najpiękniejszych oczu — szepnął mu na ucho.

Alfred zarumienił się widocznie.

Na ustach pani Bilskiej przemknął uśmiech.

— Cóż to panowie szepczecie?

— Wykładam Alfredowi o obowiązkach rodzinnych.

Tym razem ciotka już głośno się roześmiała, a chłopca oblał pąs po uszy. Poczuwał się do winy. Był istotnie zakochany w aktorce.

Powrócono do plotek miejskich. Alfreda one nie bardzo zajmowały w ogóle, dziś go wprost nudziły. Po chwili pożegnał ciotkę.

— Gdzież to się spieszysz?

— Chciałbym jeszcze kogoś odwiedzić...

— I nie chcesz odłożyć do jutra?

— Czas drogi, kochana cioteczko — odparł Alfred z uśmiechem.

Wskoczył do dorożki i kazał jechać do teatru.

Kocia dnia tego nie grała, nie było jej też w loży, w której zwykle siadywała.

Alfred pospieszył do niej do domu.

Przyjęła go z uśmiechem radości, ale... Alfred był niezadowolony. Pragnął ją widzieć samą, a zastał w salonie jakiegoś mężczyznę, którego wcale nie znał.

— Pan Zagórski... hrabia X...

Podali sobie ręce, usiedli naprzeciw siebie i — obaj milczeli. Dopiero wesoły szczebiot Koci rozruszał jej gości.

— Panie Alfredzie, czy chcesz wstąpić do Kamedułów?

— Ja?...

— Ależ tak, siedzisz od pięciu minut milcząc na wyścigi z hrabią, który znowu spoważniał, jak miał zamiar kandydować na posła...

— A pani zdajesz egzamin złośliwości.

— Daj pokój hrabio, nie rozgniewasz mię dziś, jestem bardzo wesoła.

Mówiono o tysiącznych rzeczach — właściwie o niczem. Panowie byli z czegoś niezadowoleni i wśród rozmowy myśleli obaj o jednem — kto też pierwszy wyjdzie. Żaden nie chciał ustąpić.

Wreszcie Alfred, jako młodszy, więc niecierpliwszy, chwycił kapelusz i żegnał uroczą gospodynię domu.

Hrabia chciał zostać.

— Kochany hrabio, wybacz niegrzecznej, ale zmęczonej i śpiącej.

— Każe mi pani już odejść?

— Proszę.

— A ja muszę słuchać.

Wyszli razem, lecz zaraz na ulicy rozstali się, każdy w inną podążył stronę.

Alfred był markotny. Tęsknił naprawdę do tej kokietki i kiedy po kilku tygodniach niewidzenia powrócił — zastał ją w towarzystwie jakiegoś hrabiego X! Myśl ta irytowała go coraz bardziej. Wreszcie postanowił bądź, co bądź spróbować je-

Ziemianie nasi, mając stare i nowe kłopoty, myślą o zaradzeniu im i radziby koniecznie wynaleźć lekarstwo na biedę. Trudno to, lecz przy szczerych usiłowaniach da się wiele zrobić. Doskonałą myśl podał jeden z obywateli, pan E. Dobrzański z Brzezińskiego. Oto proponuje utworzenie powiatowych „Komisyi rady i pomocy dla ziemian".

Projekt wywoła niezawodnie dyskusyą, lecz niepodobna mu odmówić wysokiej wartości. Pan D. powiada, iż w każdym powiecie znajduje się kilku ziemian doświadczonych, doskonałych gospodarzy, którym wiedzie się dobrze, ponieważ łączą pracę i zapobiegliwość z umiejętnością gospodarowania. Innym najwięcej szkodzi niezaradność. Otóż pierwsi mogliby stanowić taką komisyę porady, a ciesząc się zaufaniem swoich sąsiadów wpływaliby na nich korzystnie słowem i czynem. Życzyć należy, aby projekt nie legł w pieluchach dobrych chęci...

O równie doniosłym projekcie mówiły niedawno pisma warszawskie, a mianowicie, o założeniu „biura pomocy prawnej", któreby raz już położyło koniec nadużyciom pokątnych doradzców, owych pijawek, wysysających ostatnią kroplę krwi z najbiedniejszych.

Obecnie głucho o tej sprawie, nikt jej nie podnosi... Czyżby taki miał być jej koniec?

„Niwa" ogłasza sprawozdanie z dotychczasowej działalności rady nadzorczej funduszu dobroczynnego imienia Wincentego i Pauliny Radzimińskich. Spotykamy tam cyfry zbyt wymowne, ażebyśmy o nich mogli przemilczeć. Od 1 marca 1883 roku, zebrała rada nadzorcza, po pokryciu wszystkich wydatków, fundusz, wynoszący 2,731 rubli 47 i pół kop. Z sumy tej udzielono trzy stypendya dla uczenic średnich zakładów naukowych po 250 rs.; cztery stypedya dla uczniów po 200 rs. i trzy stypendya dla studentów zakładów wyższych po 386 rs.

Pomoc to ogromna, gdy zważymy, z jakim to brakiem środków utrzymania, muszą u nas walczyć biedacy, chciwi wiedzy. Młodzież garnie się do zakładów naukowych chętnie i pomoc jej udzielona jest czynem obywatelskim wielkiej doniosłości. Byle tylko wspierano takich, którzy istotnie wiedzy, a nie chleba szukają.

Nauka dla zarobku, to rzemiosło liche i szkodliwe. Spekulantowi nie zawsze zapewnia zyski, społeczeństwu przynosi stratę, niedającą się nawet obliczyć.

Smutny dowód mamy na rozwoju pedagogii...

Zawód pedagoga, wymagający prawdziwego zamiłowania, nieraz nawet poświęcenia, stał się przecież dla wielu tylko rzemiosłem. Smutne to, a jednak prawdziwe. A kto na tem cierpi?

Ogół, który oświaty potrzebuje i pragnie jej szczerze.

Zły pedagog nietylko, że do podniesienia oświaty nie przyczynia się, lecz przeciwnie pomaga do jej zabicia. Bezpośrednio szerzy ciemność — pośrednio zniechęca wielu do nauki, odstrasza od niej. Nie ci, co od książki uciekają są winni, lecz ci, którzy do niej zachęcić nie umieją.

Trudno pojąć, dlaczego to pole leży odłogiem, dlaczego ludzie z prawdziwem zamiłowaniem nie garną się do tego najpiękniejszego zawodu... A, czasby się poprawić...

„Przegląd pedagogiczny", który swe zadanie pojmuje uczciwie i wszelkich starań dokłada, ażeby zachęcić nietylko pedagogów z zawodu, lecz i szersze koła do zaiteresowania się sprawami wychowania, pomieścił w pierwszym zeszycie z b. r. ciekawy artykuł p. t. „*Pisma wychowawcze i czytelnicy*". W artykule tym znajdujemy kilka dobrych myśli i dlatego dzielimy się nimi z czytelnikami.

„Społeczeństwo każde ma przed sobą wielorakie zadania, ma prace na różnych polach, które musi uprawiać i należycie doprawiać, jeżeli z walki życiowej pragnie wyjść obronną ręką. By pracę swą nie po fuszersku, aby zbyć tylko, spełniało, musi także poznać i *zakres jej i środki*, któreby mu z najmniejszym możliwie wysiłkiem i stratą czasu, pozwoliły osiągnąć jak najwyższe korzyści. Słowem, ma się do każdej umiejętnie zabierać, dążyć do fachowego wykształcenia."

Poświęciwszy kilka uwag pismom specyalnym w ogóle, przechodzi autor do pedagogiki.

„Ale nie jestże to bolesna, krwawa ironia, że gdy tak jesteśmy dbali o umiejętną uprawę pszenicy, roślin pastewnych, buraków, o hodowlę bydła rogatego, baranów, że jednocześnie, mówię, zaniedbujemy zasilać się wiedzą pedagogiczną, któraby nam dopomogła w daleko trudniejszem zadaniu, bo w rozumnem, prawidłowem wychowaniu i kształceniu dzieci, nad które, jak zwykliśmy mówić, „nic droższego nie mamy!..."

Autor wykazuje zło, wynikające z takiego postępowania, nie szczędzi słów zachęty i wreszcie przystępuje do projektu, który zdaniem naszem zasługuje na uwagę i poparcie.

Głównymi promotorami postępu na niwie pedagogicznej, powinne być pisma wychowawcze. Ich to obowiązkiem jest pośredniczyć pomiędzy nauką, a praktyką, one powinne udzielać rad i wskazówek tym wszystkim, których sprawy wychowania obchodzą.

A kogoż ona nie powinna obchodzić?! Tak rzeczy te rozumiejąc, powinien każdy dom zaopatrzyć się w pismo pedagogiczne. Ale daleko nam do tego. Lista prenumeratorów „Przeglądu pedagogicznego" najlepszym tego dowodem. A jednak, jest to u nas jedyne pismo fachowe w tym kierunku.

Autor wspomnianego artykułu, zakreślił „Przeglądowi pedagogicznemu" obszerny zakres działania, nietylko teoretycznego, lecz i praktycznego zarazem. Alfą i omegą tej działalności powinna być wymiana myśli pomiędzy redakcyą, a czytelnikami i w ogóle społeczeństwem całem. Na czemże ta wymiana myśli ma polegać?

„*Oto na udzielaniu redakcyi wszystkich wątpliwości, jaką rodzicom sprawa wychowania nasuwa.* Sposobność do tego w każdej niemal rodzinie codziennie się nastręcza. Ileż to ojców, matek, biedzi się z dzieckiem, by jego upór lub złe skłonności pokonać, by jego zdolnościom nadać jak najwłaściwszy kierunek, zrobić wybór w podręcznikach, lub mu jakąś naukę ułatwić! Niech każdą kwestyą, która ich kłopotu nabawia, w jakiej zechcą formie redakcyi przedstawią, byle wiernie, z wymienieniem warunków, w jakich się wychowanie odbywa; a każdy fakt tego rodzaju, odniesiony do ogólnych zasad pedagogiki, stanie się dla kierowników pisma nieocenionym materyałem do rozpraw, które i dla ogółu czytelników rzetelny mieć mogą interes. Wszak dziś każda umiejętność na faktach się opiera, cóż dopiero pedagogika, która wtedy tylko wpływ zbawienny wywiera, gdy istotnie w potrzeby społeczeństwa bieżącej chwili utrafi."

Projekt ten powinien znaleźć odgłos w najszerszych kołach i niewątpimy, że tak będzie.

My również zachęcamy rodziców do uczynienia tak, jak redakcya „Przeglądu" radzi, będąc przekonanymi, iż tą drogą da się wiele pomyślnych rezultatów osiągnąć.

Dowód niezbity mamy na korespondencyi „Przyjaciela Dzieci". Nie mówmy już o tych licznych wypadkach, gdy dzieci same o sobie piszą — lecz na setki możemy naliczyć co rok listów, w których rodzice udają się o poradę, opisują wady, zalety, w ogóle życie swych dzieci. W ten sposób, bez rozgłosu, odbywa się nieustająca lekcya pedagogiki. Z takiej wymiany myśli korzystają zarówno rodzice, dzieci, jak i redakcya, zbierająca liczne, a ciekawe doświadczenia.

Projektowi „Przeglądu pedagogicznego" przyklasnąć musimy.

---

## WIADOMOŚCI Z KRAJU.

*** Od bardzo dawnych czasów rozpowszechnił się wiersz łaciński, powtarzany przez tysiące osób, słowa po łacinie nie umiejących, a który w dosłownym polskim języku znaczy: Gdy Wielkanoc przypadnie na dzień św. Marka; Zesłanie Ducha św. na św. Antoniego; Boże Ciało na św. Jana — cały świat zawoła: „biada!" A ponieważ wszelkie klęski, jak: wojny, zaraza, głód i wszelkie wstrząśnienia przyrody, wybuchy wulkanów, trzęsienia ziemi, zapadanie się miast, dotykają zwykle tylko pewne kraje i miejscowości, a czterowiersz mówi o „całym świecie" ztąd wywnioskowano sobie, że przepowiednia ta ma zapowiadać koniec świata.

Otóż wszystkie katastrofę tę zapowiadające termina, przypadają w roku p. 1886. Ale przynajmniej lubownicy zabaw i tańca będą mogli nasycić się niemi przed przejściem do innego świata, bo zapusty będą tak długie, jak nie były w całem tem stuleciu, ponieważ popielec wypada 10 marca, w dzień 40 Męczeników.

Autorem tego tak przerażającego dla wielu osób proroctwa, jest słynny Nostradamus, właściwie Michał de Notre-Dame, astrolog i lekarz nadworny Karola IX, króla francuzkiego, który przyszedł na świat 14 grudnia 1503 r. w St. Rémy, a umarł 2 lipca 1566 r. w miasteczku Salon, w departamencie Ujść Rodanu, gdzie grób jego pokazywano w zeszłem jeszcze stuleciu. Powyżej przytoczone proroctwo, jest jednem z 1200 jakie wygłosił.

Za najpierwsze 7 ogłoszone w 1555 r., Henryk II-gi, król francuzki kazał wypłacić mu 200 sztuk złota — nie dziw, że nabrał ochoty wypowiadać ich coraz więcej. Długi czas wierzono ślepo w przepowiednie Nostradamusa, utrzymując, że się spełniały — było to zapewne dlatego, iż układane były tak niejasno i ogólnikowo, iż można było podciągać pod nie różne wynikające wydarzenia. Tu zastanowimy się tylko nad przypadającą tak późno uroczystością Wielkiejnocy.

Postanowienie Soboru Nicejskiego z 325 r. naszej ery, wyznacza uroczystość Wielkiejnocy na pierwszą niedzielę po pierwszej pełni wiosennej, za którą to Sobór uznał nie tę jaka przypada według obserwacyi i obliczeń astronomicznych, lecz zgodnie z tak zwanym rachunkiem cyklicznym, to jest w dniu 21 marca lub później. Z tego wynika koniecznie, iż jeźli rachunek cykliczny wskaże pełnię na d. 20 marca, to Wielkanoc dopiero po następnej pełni może być obchodzoną; a jeźli zno-

wu pełnia ta przypadnie w niedzielę, to dopiero w następującą po niej Wielkanoc będzie obchodzoną.

Ten wypadek zdarza się rzeczywiście bardzo rzadko; mniej więcej co 128 lat, ale nie w zupełnie przecież równych odstępach czasu. Nader rzadko także się zdarza, aby rachunek cykliczny wskazywał pełnię na d. 21 marca, i żeby zaraz nazajutrz przypadała niedziela. Tak było w r. 1818, i wtedy Wielkanoc przypada na dzień 22 marca, i wcześniej nigdy przypaść nie może.

Od czasów Nostradamusa, dwukrotnie już Wielkanoc przypadała w dniu św. Marka, to jest w latach 1666 i 1734 a nietylko świat się nie skończył, ale nie dotknęły go żadne szczególniejsze klęski. Gdyby kalendarz nie uległ reformie w r. 1582, daty świąt Wielkiejnocy, przypadałyby dalej zwykłą koleją, obejmującą 532 lat i najdłuższe zapusty przypadałyby w latach: 1641, 1736, 1983, 2078 i t. d.

Objaśnienie to powinnoby uspokoić wszystkich, obawiających się tak prędkiego końca świata.

*** Warszawskie obserwaatoryum astronomiczne, otrzymało nową wieżę z kopułą, pozostałą po skasowaniu obserwatoryum w Wilnie. Wkrótce też będzie ustawiona w głównej sali obserwatoryum nowa luneta południkowa, kosztująca około 7,500 rubli.

## WIADOMOŚCI Z ZAGRANICY.

*** W ostatnich czasach sprawdzono fakt, że w niektórych miejscowościach Hiszpanii, około Grenady, słońce znacznie później, niż dawniej pokazuje się z za gór, a mianowicie, że różnica ta wynosi pół godziny, z czego wywodzą wniosek, że grzbiety gór Sierra-Newada wzniosły się o kilkaset metrów. Wstrząśnienia ziemi powtarzają się ciągle w okolicach Grenady, jakoteż w prowincyi Malaga i Mercha. Kołysanie ziemi i podziemne grzmoty, spowodowały rozpadanie się skał, liczne wytwarzając szczeliny. Niektóre skały poosuwały się znacznie i grożą zawaleniem się na dachy domów w miastach u ich stóp leżących. Jedna z takich skał stoczyła się już z góry na miasto Aranas-del-Rei i oprócz bardzo znacznych szkód pozbawiła życia 250 mieszkańców, którzy zginęli pod gruzami swych domów.

*** O dwie mile od Chatham, w okręgu Gillingham (w Anglii) powstaje całkiem nowego rodzaju kolonia. Jakiś *Jezreel* — nie wiadomo żyd czy Anglik — buduje świątynię kolosalnych rozmiarów, a tuż obok, całą osadę domów mieszkalnych, składów i sklepów. Opowiada, że otrzymał z nieba „Zwój latający", to jest dokument, zawierający wielkie, nader ważne tajemnice. Wręczył mu go anioł, przypominając, że o tym zwoju jest wzmianka w Piśmie św. „Zbliża się ludzkość do swego końca, mówi Jezreel; żyjemy w godzinie ostatniego czuwania, która wybije w r. 1916 — a wtedy wybrani przeniosą się do szczęśliwej wieczności, *bez przejścia przez grób*. Lecz tych wybranych będzie tylko sto czterdzieści cztery tysiące — a między nimi zarówno żydzi, jak i chrześcianie. Jezreel nawołuje przybywających ze wszystkich krańców świata — a gdy liczba będzie pełną, zamknie bramy świątyni zwanej „Zgromadzeniem Jezreela" — ale jemu tylko wiadomo co pocznie dalej. Tem się przecież odznacza od innych założycieli sekt, iż o ile się zdaje, nie dba o mamonę, a przynajmniej nie woła o składki. Przyjmuje co mu dają, nie troszcząc się o zapłacenie mularzy i architektów, zostawiając zapewnie ten kłopot aniołowi, który wręczył mu „Zwój latający". — I niewiadomo, czy anioł ów przyjął ten przekaz, ale to pewna, że mu nie brak funduszu na budowę.

Ów Jezreel obudza ogólną ciekawość. Jedni mają go za Antychrysta, drudzy za waryata — a bardzo wielu — za fenianina.

*** Czytamy w „Gazecie Polskiej": Statystyczne bióro miasta Paryża, ogłosiło wykazy odnoszące się do panującej tam w r. z. cholery. Z dat które powtarzamy, pokazuje się, iż daleko więcej umiera na cholerę kawalerów, niż żonatych. I tak:

| w wieku | kawalerów | żonatych |
|---|---|---|
| od 25 do 30 roku zmarło | 51 | 18 |
| „ 30 „ 35 „ „ | 78 | 21 |
| „ 35 „ 40 „ „ | 58 | 40 |
| „ 40 „ 45 „ „ | 152 | 44 |
| „ 45 „ 50 „ „ | 83 | 47 |
| „ 50 „ 55 „ „ | 167 | 37 |
| „ 55 „ 60 „ „ | 86 | 57 |
| „ 60 „ 65 „ „ | 117 | 46 |
| „ 65 „ 70 „ „ | 89 | 46 |
| „ 70 „ 75 „ „ | 85 | 46 |

Tak więc statystyka wykazuje i uczy, aby wszelkie śledztwa i komitety sanitarne, łamiące sobie głowy nad wynalezieniem środków zaradczych przeciw cholerze, nakazały na gwałt—zanim cholera się pojawi — wszystkim kawalerom żenić się jak najprędzej... Śmiertelność zmniejszy się bardzo, a cholera, której dotąd złorzeczą i przeklinają, doczeka się błogosławieństwa od rodziców, pragnących widzieć swe córki na ślubnym kobiercu.

### Odpowiedzi od Redakcyi.

*P. Antoninie K. w Wilnie.* List pani wielką sprawił przyjemność, bo to najmilsza nagroda: dobra pamięć młodych Czytelników, których stary redaktor gorąco ukochał. Za życzenia dziękuję. Radbym, ażeby pani, rozstawszy się z „Przyjacielem", taką samą życzliwością darzyła i „Tygodnik". Rodzicom za pamięć uprzejmie dziękuję.

*Pani Michalinie W. w Suchowczycach.* Istotnie do pierwszych wizyt nie używa się fraka; dysputujący panowie mieli słuszność. W ogóle przyjętą jest zasada, że dopiero wieczór wkłada się frak. Od zasady tej we Francyi nikt nie odstępuje — u nas i na mniejsze wieczory używa się czasem surduta zapiętego. Co do nauczycielki, jeśli pani chce mieć młodą panienkę z patentem, najlepiej zgłosić się do przełożonej której z pensyi w Warszawie.

*Pani Jadwidze Nieduszyńskiej w Tarnowie.* Dodatki powieściowe, o ile się jeszcze w zapasie znajdą, zostaną wysłane. „Tygodnik" najlepiej prenumerować wprost w redakcyi, Warszawa, Widok 3.

*P. Maryi Korzeniewskiej w Bortnikach.* Z pism francuzkich możemy polecić: „La famille" (kosztuje z przesyłką 6 rs.); „Journal de la semaine" (5 rs.); „Semaine des familles" (7 rs. 50 kop.). Z niemieckich: „Deutsche Jugend" (7 rs. 60 kop.); „Jugendblätter" (3 rs. 30 kop.); Töchter-Album" (4 rs. 80 kop.). Pieniądze na prenumeratę najlepiej przesłać do księgarni T. Paprockiego i S-ki, w Warszawie, Chmielna 8.

## Od Redakcyi.

Tom pierwszy pism Alberta Wilczyńskiego, wyjdzie z druku w końcu b. m. i zaraz po wyjściu doręczonym zostanie prenumeratorom w Warszawie i na prowincyi; zawierać będzie początek:

**„Kłopotów Starego Komendanta".**

Wydawnictwo to, redakcya przeznaczyła na premium nadzwyczajne dla swoich prenumeratorów, obniżając dla nich cenę do minimum, bo do połowy ceny księgarskiej.

Przypominamy, że prace autora „Kłopotów Starego Komendanta" są przyjmowane przez ogół czytelników z żywą sympatyą, że wszyscy pragną ich, jak się pragnie pokarmu zdrowego, świeżego powietrza, jak się pragnie krynicznego napoju, który orzeźwia i rozwesela.

**Cena prenumeracyjna pism Alberta Wilczyńskiego:**

Dla prenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom kop. **60**; za tomów 12 rs. **7** k. **20**
*w Cesarstwie i na Prowincyi* wraz z przesyłką pocztową:
za tom kop. **70**; za tomów 12 rs. **8** k. **40**

Dla nieprenumeratorów „Tygodnika Mód i Powieści" *w Warszawie:*
za tom rs. **1** k. **20**; za tomów 12 rs. **14** k. **40**
*w Cesarstwie i na Prowincyi* wraz z przesyłką pocztową:
za tom rs. **1** k. **30**; za tomów 12 rs. **15** k. **60**

Należność prenumeracyjną można wnosić rocznie, półrocznie, kwartalnie, lub też za każdy tom pojedyńczo.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

## ZAWIADOMIENIA.

Za pozwoleniem władzy szkolnej, stancya dla dwóch uczniów klas niższych, z całodzienną konwersacyą francuzką, na żądanie z muzyką i niemieckim. Wspólna Nr 32, mieszkania 21, do 10 rano i od 4 — 6 po południu.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Января 1885 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

**Dodatek.**



N. 2—3. Girlanda do sukni i przybranie do stanika balowego ułożone z niezapominajek i różyczek.



N. 1. Pelerynka sznelowa, robiona na drutach. Patrz ryc. 17 w N-rze 5.



N. 4. Bukiet z rumianków i traw.

N. 5. Wianeczek na głowę z konwalii i liści.

## Opis do N-ru 6.

**N. 1.** Pelerynka sznelowa, robiona na drutach. Patrz ryc. 17 w N-rze 5.

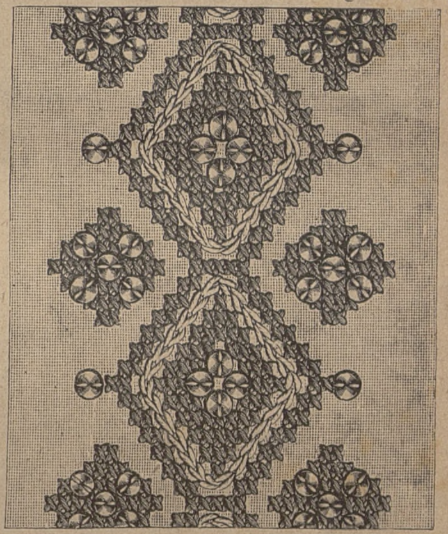
Ryc. 17 w N-rze 5 przedstawia w naturalnej wielkości próbkę roboty z jedwabnej szneli na grubych drewnianych drutach. Robotę zaczyna się od dolnego brzegu na 85 o. i robi gładko rzędami tam i napowrót; pierwsze oczko zdejmuje się nie przerabiając; gubienie dopełnia się przez zrobienie razem dwóch oczek na początku każdego rzędu. W jedenastu obrobieniach gubienie robi się na początku rzędów, w dalszych zaś 26 rzędach wypada po 22 oczka, tak, że ostatni rząd liczy 48 oczek. Model z niebieskiej szneli liczył u dołu 130 c. szerokości, obwód szyi 43 cent., długość tylna 30 cent., przednia 29 cent. Wykrój szyi obrabia się dlą mocy oczkami ścisłemi i ząbkami, poczem w około brzegów dodaje się frendzlę wiązaną w kwaściki z nitek szneli po 24 cent. długich, składanych po trzy.



N. 6. Tło wyszyte krzyżykami z blaszkami, do ryc. 32 w N-rze 5.



N. 8. Wyszycie ściegiem jednakowym na dwie strony, do ryc. 10 w N-rze 5.



N. 7. Szlak wyszyty krzyżykami i blaszkami do ryc. 32 w N-rze 5.

**N. 2—5.** Kwiaty do sukien balowych.

Podajemy kilka wzorów układu kwiatów do sukni balowej; ryc. 2 przedstawia girlandę z niezapominajek, zakonczoną szerszemi bukietami z liśćmi, przeznaczoną do podpięcia draperyi z boku; ryc. 3 daje również z niezapominajek przybranie do wyciętego stanika, w środku rozszerzone na kształt plastronu. Wszelkie drobne kwiateczki, właściwe są tylko dla młodych panien; dla mężatek modne są wielkie kwiaty, z liśćmi aksamitnemi, z dodaniem traw jedwabnych. Wielkie bukiety przypinają na trenie i z boku na podpięciu draperyi, mniejsze zaś służą do przybrania sukni z przodu i dają się na ramieniu. Do włosów z powodu wielkiego rozmiaru kwiatów, można przypiąć jeden rozwinięty z dodaniem pączków i kilku listków.

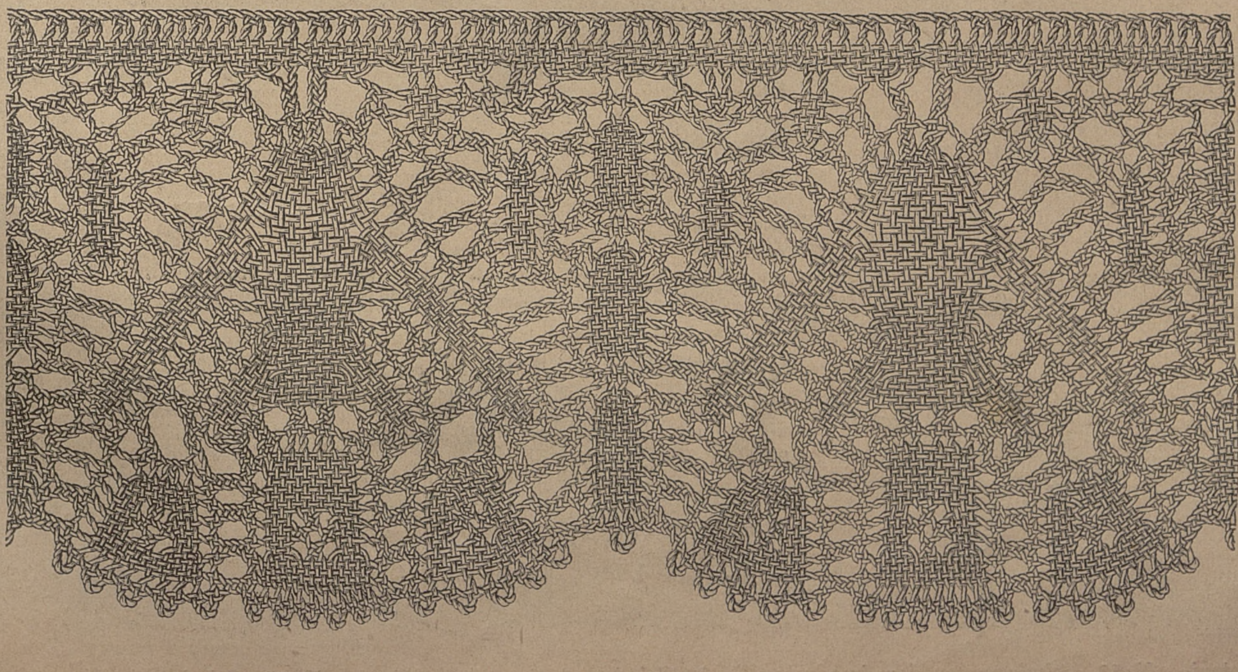
**N. 10—21.** Ubrania balowe i wizytowe.

**N. 10.** Suknia z szarfą i bawetowym stanikiem.

Odrobiona z białego materyału „virginie”, ma spódnicę ułożoną w fałdy 8 cent. szerokie, naszytą plisami z mory jedwabnej 14 cent. szerokiemi i przysłoniętą z przodu bufiastą fartuszkową tuniką. Z tyłu dodana szarfa morowa 35 cent. szeroka, przypięta na bawecie stanika sznurowanego z tyłu, z przodu zaś przybranego kamizelką fałdowaną z mory Z boku stanika aż do biodra dany bukiecik drobnych kwiatków; wykrój stanika ogarnirowany koronką; naszyjnik z kwiatów, takiż wianeczek na głowie.

**N. 11.** Suknia ze stanikiem kwadratowo wyciętym. Plecy sukni patrz fig. 49 na arkuszu; krój stanika N. II, figury 11—15.

Materyał stanowi gaza gładka i w ponsowy sznelowy rzucik; spodnica zakończona u dołu plisowaniem 14 cent. szerokim, ma z przodu płaską bufę spuszczoną od paska do falbany. Draperya z gazy deseniowej dana z brzegów bufy, układa się z dwóch brytów po 130 cent. długich, od góry podpiętych w bufę 40 c. szeroką, u dołu na 11 c. od brzegu przemarszczonych podług ryc. 11; tylne upięcie wymaga b[illegible]ta 134 cent. długiego, [illegible]żonego podług fig [illegible] Stanik bawetowy z [illegible]



N. 9. Koronka niciana robiona ręcznie. Napięcie deseniu (66 nitek na arkuszu fig. 48



N. 10—21. Ubrania balowe i wieczorowe.

N. 10. Suknia z szarfą i stanikiem bawetowym.

N. 11. Suknia ze stanikiem kwadratowo wyciętym. Krój na arkuszu podług N. II. Patrz fig. 49.

N. 12 Suknia z długim trenem. Patrz ryc. 18 i 21. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10.

N. 13. Suknia z okrągło wyciętym stanikiem. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—17.

N. 14. Suknia pokryta koronkami. Krój na arkuszu N. II, fig. 11—16.

N. 15. Suknia z marszczonym stanikiem.

N. 16. Czepeczek do teatru.

N. 17. Suknia z przypinanym trenem.

N. 18. Suknia z wielkim trenem. Patrz ryc. 12 i 21.

N. 19. Szalik koronkowy upięty jako czepeczek dla starszej osoby.

N. 20. Suknia ze stanikiem z baskiną. Patrz fig. 50 na arkuszu.

kim, kwadratowym wykrojem zapięty z przodu na guziczki, zdobny jest plastronem z drobnych kwiatków, odpowiednich do bukietu przy sukni, przypiętego z boku na sutej kokardzie z wstążki atłasowej 6 cent. szerokiej.



N. 21. Sfałdowanie i przyszycie do paska brytów stanowiących tren, do ryc. 12 i 18.

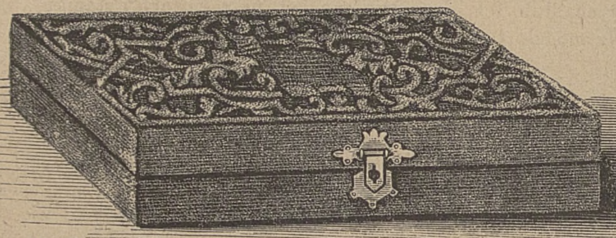
## N. 12, 18 i 21. Suknia z wielkim trenem.

Krój na arkuszu N. I, fig. 1—10.

Krótka podszewkowa spódnica do wspaniałego ubrania, odrobionego z materyi faille koloru vieil-or, bronzowego aksamitu i brokatu w tych dwóch cieniach, składa się z dwóch przednich i dwóch tylnych brytów, wymierzonych podług litery *a* i *b* na fig. 7; u dołu spódnicy dane plisowanie vieil-or, 7 cent. szerokie. Obydwa bryty przednie pokryte brokatem, mają w górze małe paniers, widoczne na ryc. 18, wymierzone podług fig. 10, z boków sfałdowane, u góry zmarszczone do 34 cent. Fig. 8 daje wymiar trenu, podszytego podszewką w całej długości; kropki i liczby wypisane u góry, oznaczają głębokość fałd pojedyńczo, odstająco przyszytych do paska, podług ryciny 21. Wykłady boczne dodane z brzegów trenu, wymagają brytów z dwojakiego materyału, aksamit jako podszewka, faille z wierzchu, krajanych podług fig. 9, przyszytych pod paniers i 62 cent. niżej, składając krzyżykiem do krzyżyka na brycie przednim, a dwukropkiem do dwukropka na trenie, a podług skośnej linii kropkowanej wykładając w rodzaj ranwersu. Jak to widzimy na ryc. 18 stanik ma kamizelkę i pierwsze boczki z brokatu a przody kaftanikowe z aksamitu, karoczko i ranwersy podszyte są materyą, baskina przy przodach fałduje się oryginalnie, od F do F składając ściśle podług znaczków, poczem podwinąć literą H do H: trzeba tu objaśnić, że brzeg przedni odwija się przy brzegu bocznym z tyłu podszewką do

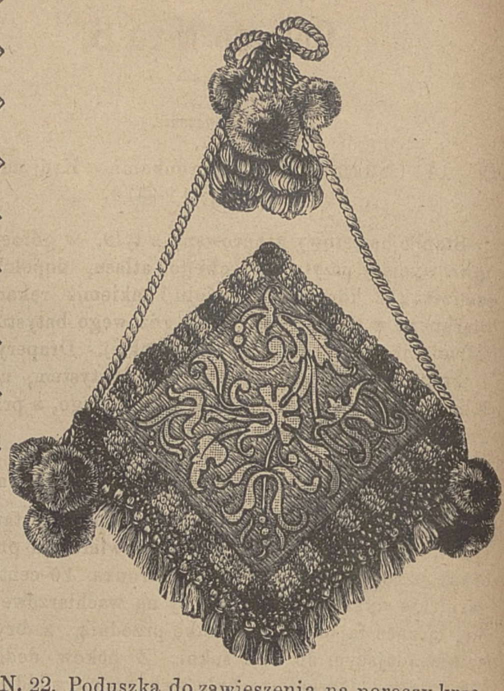


N. 24. Serwetka siatkowa z wyszyciem kolorowem. Patrz ryc. 25 i fig. 47 na arkuszu.



N. 23. Kasetka. Robota marsylska na pluszu. Deseń i opis na arkuszu N. 3.

wierzchu, a brzeg dolny wzięty jest do środka. Kołnierzyk 3 i pół cent. szeroki; wykłady na rękawach są 6 cent. szerokie.



N. 22. Poduszka do zawieszenia na poręczy krzesła lub sofy. Deseń i opis na arkuszu N. 2.

## N. 13. Suknia z okrągło wyciętym stanikiem.

Ubranie które przedstawia z tyłu fig. 17, odrobione jest z różowej jedwabnej krepy. U dołu spódnicy dane 14 cent. szerokie plisowanie z różowej materyi, przysłonięte koronkową falbaną, wyżej zaś dana bufa krepowa 20 cent. szeroka. Upięcie z jednego boku tworzy jakby podwójne paniers, zachodzące trochę na siebie, z drugiego dany bryt suto namarszczony i wszyty w pasek podług ryc. 13; brzeg dolny oszyty koronką. Z tyłu spadają dwa bryty po 140 cent. długie, a po 60 szerokie, przyczepione na trenie podług fig. 17. Stanik dopasować można podług kroju N. II, wycinając w górze okrągło, podług cienkiej linii danej na formie; plecy zakończone są patkami suto podgarnirowanemi koronką. Przy bercie koronkowej dane przybranie z piór, odpowiednio do przybrania głowy.

(*D. n.*)

---



N. 25. Część wyszycia na siatce, do ryc. 24. Deseń patrz fig. 47.